

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administracji **Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.**

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 50 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g 3—5 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Hasła zaprzepaszczone, przez Henryka Lukreca.
Moja odpowiedź p. Niemojewskiemu, przez J. M. Muszkowskiego.
Świty (odcinek), przez Zygm. Kisielewskiego.

Laicyzacja Hiszpanji, przez St. A—skiego.
Kongres międzynarodowy, przez Edw. Michalskiego.
Garść uwag, przez Bronisławę Grossera.
Leo Belmont, przez Wacława Nałkowskiego.
Gawędy, przez Marchołta.
Kronika.

Hasła zaprzepaszczone.

Zwykliśmy patrzeć na każdy fakt społeczny jako na wytwór życia. Zatem nie wieczny, dany raz na zawsze, lecz zależny od rozwoju powszechnego. Rozpatrywany w ruchu, nie może wydawać się nieruchomym w treści, lecz zmiennym i nierównym w swej roli i znaczeniu. Instytucje i ludzie, wyrażający ten fakt społeczny i nadający mu niejako formy dotykalne, są jednocześnie ucieleśnieniem idei, powstającej na terenie rzeczy dokonanych. Ludzie, realizujący wszelkie idee w faktach, spełniają zatem czynność, odpowiadającą ich naturze indywidualnej, woli i rozumowi. Postępują więc nie pod działaniem nakazu, idącego z góry, lecz z pobudek własnych, często samorzutnie. Nie może przeto być mowy o jakimkolwiek poświęceniu, lecz tylko o spełnianiu pewnej roli społecznej. Tego zdają się nie uznawać postępowcy warszawscy. Tym męczennikom postępu, wydaje się, że pracują dla idei przez poświęcenie. Tymczasem społeczeństwo nie chce jakoś uznać ich ofiarności, ani też spojrzeć bardziej przychylnym okiem na krzatanie się „garstki ideowców” zmagających się w pocie czoła z „nawałą wsteczności i obskurantyzmu”. Jest to tragedia warszawskiego postępu. Nasuwa się tu przypuszczenie, że w naszej pracy społecznej nie wystarcza już zadowolenie z dokonywanego czynu, lecz rodzi się jeszcze potrzeba nagród i odznaczeń. W takim razie jedno z dwojga: jeżeli postępowcy nasi są wyrazicielami pewnej idei, to nie mogą swej postępowości poczytywać za jakąś specjalną zasługę; jeżeli zaś koniecznie domagają się podziękowań za swoją niewdzięczną „czarną pracę” — to nie są postępowcami z pobudek naturalnych, lecz zwolennikami idei na pokaz. Stąd wynikałoby, że współczesność powinna tych działaczy koniecznie przedstawić do nagrody za cenne cnoty i doświadczone przez nich cierpienia. Lecz tutaj jest znacznie gorzej.

Ostatnie wystąpienia Myśli Niepodległej niedwuznacznie świadczą, że linja mieszczańskiego postępu gwałtownie się załamała pod naporem reakcji. Temu organowi osobliwej demokracji burżuazyjnej należy się istotnie najwyższe odznaczenie. Powołując się ciągle na Zachód, pismo to nie omieszkało w okresie upadku idei postępowych rzucić hasła, nieznanych dotychczas na Zachodzie wolnomyślnym i demokratycznym. Wzywając ustawicznie Europę na świadka, że humanitaryzm w Polsce może być tylko dobrodziejstwem — Myśl Niepodległa sprzeniewierzyła się sobie, ulegając barbarji nacjonalistycznej. P. Niemojewski ponadto, zaznaczyć tu wypada, wytknął granicę osiedlenia w sferze myśli dla „żydów i cyganów” i niedługo zapewne ustanowi stopę procentową dla pilsarów nieszlacheckiego pochodzenia, mających prawo zabierać głos w sprawach religijnych i wolnej myśli.

P. Niemojewski będzie zatem pierwszym kandydatem z wyboru na stanowisko prezesa „Tymczasowego Komitetu Cenzury Niepodległej”, obdarzonego pełnomocnictwem odrzucania tych wszystkich prac, które nie są opatrzone pieczęcią herbową, lub świadectwem odpowiedzialności majątkowej. Pierwsi przeto oddajemy głos na kandydaturę p. Niemojewskiego w tej nadziei, że o nas przedewszystkiem nie zapomni.

Zatem nie lewica społeczna przyczynia się do upadku mieszczańskiej idei postępowej. Ideolodzy rzekomo wolnomyślni i rzekomo demokratyczni stają się grabarzami hasła, zapożyczonych na Zachodzie na krótki niestety okres, bo kończący się w dniu dzisiejszym, — w czasie najwyższego rozwoju reakcji porewolucyjnej. W dodatku upadek tych hasła przewodnich odbywa się nawet bez zwykłego majestatu śmierci. Nie dziwić się przeto, panowie, że lewica, nie ulegająca wpływom reakcji społecznej, pisze nie limfą, lecz krwią! To mało! o was dziś pisać należy trucizną!

Henryk Lukrec.

Moja odpowiedź p. Niemojewskiemu.

Konieczność obrony usprawiedliwia nawet samochwalstwo.
Lessing.

Jednym z faworytalnych schematów p. Niemojewskiego, które on nazywa publicystycznymi, a ja nazwałbym zgola inaczej (czego nie czynię, aby nie wprowadzać do polemiki tonu, właściwego temu zdeklasowanemu sejmikowiczowi, a który uważałbym za uchybienie własnej godności) — jest zapytywanie się: „Kto są ci panowie?”, „Jakie są ich dzieła?”

Pytanie to rzucił p. Niemojewski w № 146 „Myśli Niepodległej” pod adresem redakcji „Społeczeństwa.”

Otóż do najbliższego zespołu redakcyjnego „Społeczeństwa” należą między innymi pp. Jan Władysław Dawid, Ludwik Krzywicki i Wacław Nalkowski. Kto są ci panowie — o tem wie zapewne p. Niemojewski. Ale nie wie tego, że ciche zasługi tych ludzi przewyższają o wiele jego krzykliwą działalność zamaskowanego reakcjonisty. Nie wie tego, że mógłby się jeszcze bardzo wiele od tych ludzi nauczyć. Oni nie głoszą hałaśliwie — sposobem szarlatanów jarmarcznych — że pracują już dziesiątki lat w najcięższych warunkach; im tego nie potrzeba — bo rezultaty ich owocnej działalności mówią za siebie głosem tej części młodego pokolenia, która zawdzięcza im pierwszą, wyniesioną z kraju zachętę do samodzielnych badań naukowych na wszechnicach i w bibliotekach zagranicznych. P. Niemojewski nie wie zresztą i o tem, że w stosunkach zachodnich byłoby szczytem kompromitacji dla najpoważniejszego nawet profesora przytaczać jako argument polemiczny długoletnią działalność naukową — nawet w stosunku do początkującego doktoranta.

P. Niemojewski nie wie, kim ja jestem. Nic w tem dziwnego — bo jestem bardzo niewiele. Rozpaczam dopiero działalność publicystyczną. Ciekawy jednak jestem, co odpowiedziałby p. Niemojewski, gdyby po ukazaniu się pierwszych numerów „Myśli Niepodległej” napisał ktoś: „ten człowiek nie ma prawa przemawiać do nas, gdyż nie ogłosił żadnej pracy naukowej”? Toć wówczas p. Niemojewski nie miał jeszcze za sobą „Boga Jezusa.” A nie uważa chyba za dzieła naukowe słabiuchnego zbioru p. t. „Listopad” czy też „Legend”, których wartość jest bardzo problematyczna.

Zresztą, co się tyczy mojej osoby, to informacje p. Niemojewskiego są błędne (jak się to często zdarza), gdyż ja mam za sobą pracę naukową. Mógłbym nawet dowieść, rozumując analogicznie, że mam wobec tego większe prawo redagować „Społeczeństwo” niż p. Niemojewski (wówczas) — redagować „Myśl Niepodległą.” Ale o tem później. Zmuszony jestem bowiem prostować wszystkie punkty po porządku.

1) p. Niemojewski wymienia błędnie moje nazwisko. Nie nazywam się *Muszkat* lecz *Muszkat-Muszkowski*, jak wskazuje metryka urodzenia (sporządzona dn. 10-go kwietnia 1882 roku) i paszport. Dla zaspokojenia instynktów wywiadowczych p. Niemojewskiego dodaję, że paszport jest wydany przez komisarza 2-go cyrkułu w Warszawie za № 1201.¹⁾

¹⁾ Metryka i paszport do obejrzenia w redakcji, codziennie od 3 — 5-tej.

2) p. Niemojewski twierdzi, że członkowie redakcji „Społeczeństwa” nie mają wiedzy i nie posiadają wykształcenia. Wspomniałem już nazwiska pp. Dawida, Krzywickiego i Nalkowskiego, które mówią same za siebie. Co się mnie tyczy, nie chcę zatrzymywać się na tem, że posiadam dwa dyplomy uniwersyteckie, gdyż to niczego nie dowodzi, ponieważ znamy dosyć dyplomowanych (i niedyplomowanych) głupców.

3) p. Niemojewski zapytuje: „Gdzie są wasze dzieła?” Co się tyczy dzieł pp. Dawida, Nalkowskiego i Krzywickiego, to muszę odesłać p. Niemojewskiego do „Poradnika dla samouków.” Staranne przestudjowanie tej książki i dzieł w niej wskazanych przyda mu się bardzo i przyczyni się do podniesienia poziomu artykułów w „Myśli Niepodległej.” Co do mnie, mogę przedstawić jedną tylko pracę naukową, napisaną i wydaną w języku niemieckim: *Spartacus, eine Stoffgeschichte.* [Leipzig 1909 Xenien-Verlag. Str. 226. P. Niemojewski ma wprawdzie też jedno tylko dzieło naukowe za sobą, a pisze o niem tak dużo i tak często, aby wpoić w swych czytelników przekonanie, że dzieł tych jest przynajmniej tuzin. Należy dodać, że p. Niemojewski jest starszy odemnie co najmniej o 25 lat.

4) p. Niemojewski cytuje z dumą i z zachwytem to, co piszą mu uczeni niemieccy w odpowiedzi na przesłanie im egzemplarzy niemieckich „Boga Jezusa.” Otóż p. Niemojewski, jako *początkujący pisarz naukowy* nie wie o tem, że listy takie piszą profesorowie niemieccy odwrotną pocztą, zanim zdążą jeszcze przeczytać dane dzieło. Jest to *zwyczaj grzeczności profesorskiej*, jest to *usus między uczonemi*. Niektórzy profesorowie mają nawet podobno drukowane blankiety z podziękowaniem.

P. Niemojewski żąda odemnie legitymacji. Mówi w swym pięknym języku, zapożyczonym od faktorów prowincjonalnych: „Nóżki na stół!” Wobec tego zmuszony jestem przytoczyć urywki z listów, pisanych do mnie po rozesłaniu mego „Spartakusa.”

Profesor berliński, Erich Schmidt — największa powaga w dziedzinie historii literatury niemieckiej — pisze do mnie pod datą 7-go Lipca 1909 r. „Besten dank! Hätt' ich Ihr offenbar gehaltvolles Buch nur vor ein paar Monaten gehabt!..” (mógłby bowiem wówczas włączyć jeszcze rezultaty moich badań do trzeciego wydania swego pomnikowego dzieła o Lessingu); dodać należy, że w książce mojej zwalczam w sposób stanowczy pogląd prof. Schmidta na fragment dramatyczny Lessinga p. t. „Spartacus.” Profesor krakowski W. Creizenach — autor najlepszej historii dramatu w Niemczech — pisze pod datą 8-go Maja 1909 r. i kończy list swój słowami: „Ich freue mich in Ihnen einen polnischen Germanisten kennen gelernt zu haben, der sich wissenschaftlich mit neuerer und neuster Literatur beschäftigt.” Profesor lwowski, Richard Maria Werner, pisze obszerny list pod datą 20 Czerwca 1909 r., w którym chwali moją metodę i kończy tak: „Sie scheinen mir durchaus auf dem richtigen Wege, was mich übrigens nicht Wunder nimmt, da Köster Ihr Lehrer war, den ich sehr hochschätze.” Prof. Karol Appel z Warszawy pisał pod datą 23-go Marca 1909 r.: „Rzecz podjęta przez Pana jest niezmiernie ciekawa i czyta się z prawdziwą przyjemnością. Metodę opracowywania tematów

literackich wybraną przez Niego uznaje w zupełności... Mogę podziwiać czytanie autora."

Poprzestaję na przytoczeniu tych tylko sądów — a przytoczyłem je *zmuszony* przez p. Niemojewskiego. Dotychczas nie pisałem jeszcze w redagowanym przezemnie tygodniku o mojej pracy naukowej (jak to czyni ciągle p. Niemojewski) — nie pisałbym i nadal, gdyby nie wyzwanie, rzucone mi przez p. Niemojewskiego. Zresztą wszystkim cytowanym powyżej uczonym jestem bardzo wdzięczny za ich uprzejmość, ale nie przyszło mi do głowy uważać się za wielkiego uczonego na zasadzie tych listów, jak to czyni p. Niemojewski.

Jeszcze jedna uwaga „dla ścisłości naukowej.“ P. Niemojewski jest dumny szczególnie ze zdania prof. Haeckla.²⁾ Imponowanie nieświadomym takimi przedawnionymi autorytetami pasuje wybornie do typu działalności „naukowej“ uprawianej przez p. Niemojewskiego. Gdyby p. Niemojewski posiadał choć trochę wiedzy filozoficznej i przyrodniczej, wiedziałby, że nad monizmem materialistycznym Haeckla nauka poważna przeszła już dawno do porządku dziennego (co nie przeszkadza uznaniu jego zasług położonych dla badań ściśle biologicznych) i że tacy uczeni jak Wundt i Ostwald uważają ostatnie książki Haeckla (jak np. „Die Welträtsel“) wręcz za *szkodliwe*.

5) W zakończeniu swego artykułu pisze p. Niemojewski: „Niektórzy z tych paniczów chcieli koniecznie zasilać swemi pracami „Myśl niepodległą“. O takich sprawach tak ogólnikowo mówić *nie wolno*. P. Niemojewski chce zainsynuować, że to członkowie grupy „Społeczeństwa“ zwracali się do niego. Ale wie, że jest to *bezecne kłamstwo*. Więc, aby uniknąć odpo-

²⁾ Które ma zresztą charakter zupełnie zdawkowy; jest wprost formułą („Dankbarkeit und Verehrung“), używaną stale w Niemczech, np. jak nasze „bardzo mi przyjemnie.“

wiedzialności, pisze ogólnikowo: „niektórzy z tych paniczów“ — i to w polemice zwróconej specjalnie przeciwko redakcji „Społeczeństwa“!

Panie Niemojewski! Niechaj sumienie powie panu, jak się takie postępowanie nazywa!

Dla uniknięcia nieporozumień oświadczam, że *ani p. Henryk Lukrec, ani p. Marchott, ani ja* (te trzy nazwiska z zespołu redakcyjnego „Społeczeństwa“ wymienił p. Niemojewski) *nie zgłaszaliśmy nigdy żadnych artykułów do druku w „Myśli niepodległej“, że żaden z nas trzech nie zna nawet osobiście p. Niemojewskiego i nigdy znać go nie będzie.*

Dr. fil. Jan Muszka t-Muszkowski.

Laicyzacja Hiszpanji.

(Dalszy ciąg).

VI.

Z całej powodzi faktów, z całego stosu materiałów, wybrałem tylko niewielką część. Ale i ta garstka przykładów, przypuszczam, dostatecznie ilustruje panujący obecnie w Hiszpanji obraz stosunków i świadczy, że akcja sfer liberalnych i radykalnych, prowadzących w tej chwili politykę, stanowczo zmierza do zrzucenia raz na zawsze jarzma klerykalizmu rzymskiego. W ostatniej chwili przybył jeszcze jeden niezmiernie wielkiej wagi fakt. Oto osiadły przy papierze ambasador hiszpański, Ojeda, nagle opuścił Watykan i przeniósł się do swej ojczyzny. Ucieczka ta dokonana została w tak dziwnych i — że tak powiem — konspiracyjnych warunkach, bez żadnej presji i bez żadnych przygotowań, że nasuwa się przypuszczenie, iż pan ambasador do Rzymu już wcale nie wróci. Jest to szczegół nadzwyczaj charakterystyczny i dobitnie świadczący, że węzły łączące ultrakatolicką

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

3)

— Tak — tak. — I czem się to skończy, jak myślicie?

— Nie wiem, ja nic nie wiem — rozgniewał się Śmigielski, jakby go urażono w niewygojoną ranę. — Ludzi niema, ludzi brak, jak nigdy. — Czasem natkniecie się na robociarza, że gębę otwiera z podziwu, ale cóż: niema wodzów. — Chyba Zbawiciel musiałby się zjawić.

— Zbawiciel?

Śmigielski ożywił się. — W to jedno wierzę. Niechby jeden wziął w garść — a robactwo zdeptać, stajnie wymieść. Myślę i myślę od rana do nocy i, wiecie, doszedłem do tego, że to, co się dzieje, jest dziecinem baraszkowaniem. Tu trzeba jakichś Brutusów, ludzi żelaznych, rozumiecie? Zasada demokracji wymaga wielkich charakterów, jasnych, prawych ludzi, a jeśli takich niema, to każda demokracja weźnie w łeb, sama się zeżre. Potężnych bohaterów-obywateli! A u nas co? — śmiech wspomnieć. Gadanie i gadanie. Chory je-

stem, moi drodzy, z tego wszystkiego. Zwymyślałem i poszedłem.

Śmigielski sposepniał i zamilknął.

— Ale przecież chyba coś robią, jakiś program działania — nawiązał Sarnecki.

— A niech djabli wezmą wszystkie programy — porwał się Śmigielski. Program jest jeden, jasny. Trzeba lekarza, któryby wynalazł receptę na tę chorobę.

— I cóż wy teraz zamierzacie?

— Wracam do dzieci, bo starym zgniły serca.

Śmigielski długimi krokami mierzyl pokój. Burzyło się w nim.

— Można zwarjować — zaczął. Sto lat, a my stoimy jeszcze na tem samem miejscu. Mało ciągów było widocznie. Dzisiaj jest tylko chłop i robotnik, sami widzicie. Ale cóż? nierządem i sobkostwem stoimy już trzeci wiek. Szlachcic i góral zakopiański, chłop i robotnik fabryczny, to jedno, myśmy wszyscy z tej samej gliny ulepieni, a niema ludzi, którzyby to rozumieli. Poeci... Ale cóż mi z poetów? — Żywych ludzi trzeba, którzy wiedzą, to znaczy, czynią. Do czartha gadanie, powtarzam wam, i to, co sobie kto myśli. Bo myśleć, to nie znaczy wiedzieć. Wiedzieć naprawdę, to znaczy czynić.

Śmigielski wejrzał podejrzliwie na Sarneckiego, jakby ukrywał przed nim tajemnicę. Usiadł, gryzł wąsy, porywczo szarpał brodę i patrzył w ziemię marzącymi oczami. Znowu wstał i tłukł się po pokoju.

Hiszpanję z Watykanem są tak rozluźnione, iż mogą lada chwila pęknąć—a wówczas: na gruzach Bastylji religji rzymsko-katolickiej nie stanie już nowa Wanda hiszpańska...

A teraz, z kolei, należy posłuchać, co na to wszystko mówi Rzym; posłuchajmy, jakim potężnym, spżozym głosem brzmi w uszach współczesności: *Roma locuta est*. Niedawno byliśmy świadkami, z jaką pobożnością i pokorą wysłuchali to *locuta* (encyklikę Boromeuszową) Niemcy, byliśmy świadkami *imponującej kapitulacji* Rzymu. Zdawałoby się więc, że z taką samą kapitulacją pośpieszy Watykan względem rządu hiszpańskiego, z jaką pośpieszył względem kościoła protestanckiego. Przypuszczenie to opierano na tak znamiennych faktach, jak mocna pozycja p. Canalejas'a, jak stanowczy, niezachwiany ton jego deklaracji, jak poparcie jej przez króla Alfonsa, jak wreszcie — gorący aplauz wszystkich lewicowych partji, reprezentujących poważny odłam społeczeństwa. Ale nie. Stolica Apostolska kapitułuje dopiero po ostatecznym skompromitowaniu się. Taki charakter nosiła porażka w Niemczech, taki sam niewątpliwie nosić będzie i w Hiszpanji. To też z całym spokojem i pewnością możemy oczekiwać na zastąpienie *naiwnie wojowniczego* tonu kleru przez ton *tragicznie potulny*. Ale nim to nastąpi, kościół musi jeszcze zrobić ostatnie posunięcie na szachownicy. Wszystko stracone, trzeba użyć wszelkich środków, prowadzących do celu, według starej jezuitkiej zasady: *qui veut la fin, veut les moyens*. Watykan zaangażował się do walki, obiecując bronić się *unguibus et rostro*. Przyjrzyjmy się tej walce.

Walka ta albo inaczej: „ruch protestacyjny przeciw polityce p. Canalejas'a”, ześrodkował się w dwóch ogniskach inkwizycji religijnej: w Watykanie i Toledo. O ile Rzym liczyć się musi z względami politycznymi, co już nadaje pewien ton umiarkowany jego wystąpieniom, o tyle odwieczna forteca katolicyzmu, powiedzmy wyraźnie — filja stolicy świętej, Toledo, nie czuje się niczem skrepowaną. To też dzisiaj, pod bokiem godnego comilitona pana Merry del Val, arcybiskupa Vive y Puto, opracowywany jest plan kampanji co do najdrobniejszych szczegółów, a z *czarnego Watykanu* — jak się wyraża prasa francuska — pochodzą

tylko zasadnicze wskazówki, dyrektywy. W ten sposób akcja została chytrze podzieloną: Watykan prowadzi akcję *polityczno-dyplomatyczną*, Toledo — akcję *czynną*.

Po ogłoszeniu antyklerykarnej deklaracji p. Canalejas'a i po zatwierdzeniu jej w specjalnym dekreście przez króla, Watykan *oficjalnie* — o *podziemnej* agitacji Rzymu pomówimy poniżej — ograniczył się do zakomunikowania rządowi hiszpańskiemu stanowczego protestu przeciw nadaniu ustawy o kongregacjach religijnych i zmianie artykułu II konstytucji hiszpańskiej w duchu nieprzyjaznym dla kościoła oraz wyrażenia nadziei, że rząd, w celu uniknięcia przykrych i pożądanym dla wrogów religji incydentów, sam odwoła swą deklarację i wszystkie z nią związane rozporządzenia. „Lud hiszpański jest szczerze religijny, szczerze katolicki, nie pragnie żadnych reform i chce dalej być wychowywanym w duchu tradycji katolickiej. Takim jest jego charakter i charakter ten żadnym metamorfozom ulec nie może. Tolerancja kultów religijnych jest co najmniej zbyteczna, albowiem w Hiszpanji są tylko *katolicy* i *wrogowie katolicyzmu*, wolnomyśliciele. Protestantów w Hiszpanji niema⁴⁾. Jasną więc jest rzeczą, że deklaracja rządu ma na celu zgnębienie katolicyzmu i kultywowanie ateizmu”. Tak mniej więcej brzmią słowa p. Merry del Val. Na to p. Canalejas w tonie poważnym ale również stanowczym odpowiedział, że ustawy o kongregacjach religijnych bezpośrednio nie dotykał, a co się tyczy zmiany konstytucji, to sprawa ta jest kwestją wewnętrzną Hiszpanji, do której nikt obcy, więc tem samem i Rzym, wtrącać się niema prawa.

Wymiana zdań dyplomatycznych pomiędzy rządem hiszpańskim a Watykanem trwa dalej i niewiadomo, kiedy się skończy.

Natomiast zupełnie innej metody jął się pan Vive y Puto. Metodą tą jest polityka groźby i polityka wywoływania rozruchów wśród ludności. Dobitnie po-

⁴⁾ W odpowiedzi na te kłamliwe słowa, protestanci zaraz zawiadomili p. Canalejas'a, że w jednym tylko mieście Walencji mieszka kilka tysięcy protestantów, którzy mają swoje instytucje, szkoły, dzienniki i t. p.

— A czy wiecie—wybuchnął znieca — że gdyby wyrósł taki, coby umiał w polską duszę uderzyć, toby z nas źródło trysnęło, jak pod łaską Mojżesza. — Śmigiełski zarumienił się. — Nie śmiećcie się człowieku, ale tak jest, takby być mogło.

Sarnecki skrzywił się ironicznie.

— Nie macie z czego szydzić — mruknął Śmigiełski urażony.

— Nie z was, kochani, nie z was.

Obaj zamilkli na długo.

— Czyście nie zetknęli się tutaj gdzie z niejakim Zglińskim? — zapytał Sarnecki po pewnym czasie.

— Doktor Zgliński? A — widywałem. Pewnie przywózł z zagranicy jeszcze jeden program i parę pudów bibuły europejskiej. A co? znajomy wasz?

— Z budy. Podobał wam się?

— Nie powiem. Dużo szczeka, jak wszyscy i jest bardzo „kulturalny” i ładnie ubrany. Sympatyk, czy licho go wie.

— Więc się wam nie podobał?

— Mało go znam, ale mi coś za bardzo zalatuje bulwarami paryżkimi i wielką polityką. Jak wiecie, nie lubię tych gładyszów, którzy się pyszną kulturą europejską, jakby to ta Europa była nie wiem jakim frykasem. Homo lupus w rękawiczkach, a u nas z brudnymi paznokciami. Zresztą nie chcę was uprzedzać.

— Cóż wy porabiacie? Szukacie lekcji? Ja tam teraz w kompletach? — zapytał Śmigiełski po chwili.

— Dziękuję wam! Wyjeżdżam do Krakowa.

— Do Krakowa?! — Śmigiełski zastanowił się. — Zdrowo was coś wzięło.

— A wzięło.

— Tak — mruknął Śmigiełski. Na uniwersytet?

— Może, czy ja wiem zresztą. Wogóle przewietrzyć się. No, ale idę. Bywajcie zdrowi.

— Posiedźcie jeszcze, cóż was niesie. A kiedy wyjeżdżacie?

— Za tydzień, dwa.

— Przyjdźcie więc do Szeremety za jakieś dziesięć dni. Ma być biba. Tymczasem bawimy się. Poglądacie ludzi.

— O nie, nie! Mam dosyć.

— Może napijecie się herbaty?

— Owszem, skoro już mnie tak zatrzymujecie.

Sarnecki przesiedział u Śmigiełskiego do wieczora. Nareszcie zmęczony pożegnał się. Nie zważając na chlapawicę, włókł się krok za krokiem, potrącany przez przechodniów. Rozmowa ze Śmigiełskim wzmożła nastroj przygnębiający. Myśli wracały do Zglińskiego i lat szkolnych. Widział się młodym chłopakiem, spalającym się na zakutej prowincji. Przypominał sobie ten wieczór, kiedy go to odwiedził Zgliński, bóg młodzieży i miał z nim tajemniczą rozmowę. Pamiętał zachwyt i entuzjazm, z jakim patrzył na niego, na bohatera, wzywającego do wielkich czynów i poświęceń. Odtąd stał się Zgliński dla niego ideałem, który powziął sobie osiągnąć.

twierdza to interwencja korespondenta *Matin'a* z pewnym mnichem toledańskim. „Dla nas — mówił sługa boży z Toledo — obecny prezes ministrów, partja liberalna, która go podtrzymuje oraz socjaliści i republikanie, to członkowie tej wyjątkowej armji, która pragnie — i to jest jej jedynym zadaniem — zburzyć Kościół i zburzyć Ojczyznę. My się nie pozwolimy sprowokować manifestacjami, których uczestnicy rekrutują się z najgorszych elementów społeczeństwa⁵⁾ i anarchistów, ignorujących wszelką świętą władzę i zwalczających najprymitywniejsze podstawy moralności publicznej. Takiemi są nasi przeciwnicy. My jednak doskonale znamy naród hiszpański, ten naród, który jest głęboko wierzący i pełen czci dla duchowieństwa narodowego, którego wielkość jest nierozdzielnie złączona z wielkością Ojczyzny. I należy podkreślić, że lud hiszpański jest żywo oburzony przeciw wichrzycielom wiary i nikczemnym podżegaczom, z którymi się nigdy nie solidaryzował i nie solidaryzuje się obecnie. Na napaści anarchistów lud nasz odpowiada tylko pogardą, ale nie ręczymy czy długo zdoła tłumić w sobie słuszny gniew. Zaciekle propaganda łóz masonskich wyrządziła już dosyć złego Hiszpanji. Dzięki niej zgubiliśmy Filipiny(!). Usiłując za wszelką cenę zdyskredytować religję katolicką w naszych kolonjach, wywołała bunty krajowców, które miały dla nas fatalne następstwa. Liberalowie, którzy nazywają siebie monarchistami oraz radykałowie, w rodzaju p. Canalejas'a — są zdeklarowanymi wrogami zasad monarchicznych. Miejmy nadzieję, że Bóg otworzy oczy naszemu władcy i że ujrzy on swoich wiarołomnych przyjaciół we właściwym świetle. Wówczas ich korupcja i przewrotność już im nie ujdzie bezkarnie. Gdy pewnego razu odwiedził Hiszpanję, prezydent Republiki Argentyńskiej Saënz Pena, p. Canalejas przedstawił mu Pereza Galdos, mówiąc: „oto przyszły prezydent Republiki Hiszpańskiej” — i te słowa niebacznie wiernie tłumacza istotne uczucia p. Canalejas'a i jego „monar-

⁵⁾ Na czele ruchu przeciwkлерykalnego stoi Perrez Galdos, jeden z najznakomitszych pisarzy i uczonych hiszpańskich, oraz wielu byłych ministrów.

chizm”. My nie możemy zaniechać walki o nasze święte prawa i nie możemy pozwolić na wypędzenie naszych braci, którzy ufają gościnności hiszpańskiej⁶⁾. Ale wierzymy w naszego czcigodnego kardynała, który nas obroni, i wiemy zresztą, że lud sam stanie w obronie swej wiary, podtrzyma nas w naszej świętej walce z odwiecznymi wrogami i burzycielami moralności religijnej i użyje wszelkich środków, by nie dopuścić do szańbienia swej ocyzny. Niechaj więc przyjdzie burza. My możemy czekać, albowiem my jesteśmy wieczni”!

Inny mnich był bardziej szczery i wręcz oświadczył: „jeśli p. Canalejas nadal opierać się będzie przy swej polityce, wywołamy powstanie wśród ludu we wszystkich prowincjach hiszpańskich, nie powstrzymamy ludu w groźnym pochodzie przeciw zdrajcom ojczyzny i jesteśmy przekonani, że zbiorowa siła narodu zmusi p. Canalejasa i jego zwolenników do uszanowania świętej wiary katolickiej: Dusza ludu jest z nami”!

Pewien kanonik podczas kazania w katedrze w Sewilli, piniąc się ze złości, groził, że duchowieństwo nie pominie żadnego środka, by dopiąć swego celu „uciekniemy się — wołał — do czynów tak głośnych, że nawet głusi nas usłyszą”!

Niezależnie od tych *amatorskich* wystąpień, toczy się poważna akcja *podziemna*, której właśnie najwięcej obawiać się należy. Akcją tą kieruje były prezes ministrów Maura, oraz kardynałowie Merri del Val i Vive y Puto. Wszyscy trzej mają podzielone i precyzyjnie określone misje. Zadaniem p. Maury jest wpływać na dwór i starać się wszelkimi siłami przeciagnąć otoczenie króla na swoją stronę oraz — w miarę możności — przekonać samego króla, że, tolerując ekscesy p. Canalejas'a, król przykłada rękę do swej własnej zguby. Arcybiskup Vive y Puto ma analogiczną misję, mając sobie poleconem wpływać na królowę matkę, która znów ze swej stro-

⁶⁾ Mowa tu chyba o mnichach francuskich, którzy po oddzieleniu kościoła od państwa we Francji, gromadnie emigrowali do Hiszpanji.

Jak on też obecnie wygląda? Co się z nim stało? A jeśli prawda, że „zmańdzał”, wędrując po Europie?

Ale jak mu się ja przedstawię? Jeżeli nawet sfilistrzał, jakimż prawem ja mu to pytanie zadam? Czemu ja teraz jestem?

W mózgu wylęgaly się myśli chore, zgryzione, leniwe; jak robaki snuły się po rozmiękle, niechlujnym błotniku. Naszło go uczucie niemocy i obrzydzenia. Pesymistyczne uwagi Śmigielskiego utwierdziły go jeszcze w stanie beznadziejnego zniechęcenia do życia.

Błotem zachlastana ulica, tłum przemokłych, zirytowanych ludzi.

Sarnecki z przykrością słuchał nieustannego dzwonięcia wozów tramwajowych, dudnienia dorożek: cały ten obraz skryształizował się z nim jako formuła życia, jego treść: nuda. — I tak już zawsze? do końca?

Właśnie mijał rzęsiście oświetloną cukiernię. Wszedł. Sala huczała, jak rynek w czasie jarmarku. Bębnił fortepian, rozdierającym głosem wyły skrzypce. Naokoło białych tarcz stolików cisnęły się grupki mężczyzn. Czytali gazety, palili, rozprawiali, taksowali łydki przechodzących kobiet.

Sarnecki, lawirując pośród stolików, zauważył twarz czyjąś, jakby znajomą, ale z umysłu nie przyjrzał się jej bliżej. Chciał być sam, zaryć się gdzieś w kącie dużej sali, zanurzyć się w otumaniającej atmosferze knajpy, muzyki, dymu, krzyku — usnąć.

Gdy odwrócony plecami do sali zawieszał płaszcz, poklepał go ktoś poufale po ramieniu.

— Patrzysz i nie poznajesz. Cierpiś na kurzą ślepotę?

Sarneckiemu zrobiło się obrzydliwie nieswojo, jak złodziejowi, złapanemu in flagranti.

„Głos obcy, ale znany. On! — i to teraz, teraz właśnie!” — przemknęła myśl.

Odwrócił się i bez słowa przywitania uściśnął dłoń Zglińskiego, który przebiegłymi oczami lustrował go od stóp do głowy.

— Siadajże niedołego. Wyglądasz, jak niewyprasowane spodnie — mówił Zgliński, filuternie zerkając na Sarneckiego, który niezdarnie, zakłopotany, czynił sobie miejsce przy stoliku.

— Cóż tak błędnie wylupiasz na mnie oczy, jak baran. Masz istotnie dużo podobieństwa do stracha na wróble. Któż to nosi brudne kołnierzyki — i ten krawat, zmiętoszony, jak zdarta pończocha — biedaczka. Dziwadło cudaczne. Przyjechało to z jakiegoś Płocka, albo jeszcze lepiej z Częstochowy i gapi się na „stolicę”. — Puhacz, prowincjał, belfer, obtłukujący czerepy młodzieńcze — śmiał się serdecznie Zgliński. — A gadajże gamoni! Kelner! Dwie czarne kawyl Połkniez spirytusu — naturalnie. Dwa koniaki!

Sarnecki, zalany wodospadem elokwencji swego przyjaciela, czuł, że mu głowa do cna pustoszeje. Nie umiałby odpowiedzieć, jak się nazywa. Uczucie osłabienia i obrazy względem Zglińskiego, połączone ze

ny obowiązana jest mieć pieczę nad synem w każdej chwili dnia i nocy i przy wszelkiej sposobności przekładać mu, prośbami i groźbami, że p. Canalejas jest przywódcą spisku, przygotowującego powstanie zbrojne i detronizację króla i że, jeśli król nie uwierzy, to wtrąci siebie i całą swą rodzinę w nieszczęście, że p. Canalejas i p. Perez Galdos przygotowują Alfonso wi ni mniej ni więcej tylko los serbskiego króla Aleksandra i królowej Dragi. Tylko tyle...

Ale akcja ta daleko szersze zatacza koła. Watykan nie przepuszcza żadnej sposobności, aby zyskać minimalne choćby korzyści. Wystosował oto odezwę do hiszpańskich dam z arystokracji. „Dlaczego wy, kobiety hiszpańskie—brzmi ustęp z odezwy—nie organizujecie specjalnych obchodów na cześć kościoła, którego macie honor być córami? To jest plama, to jest hańba, którą kobiety zmyć mogą jedynie, stając do czynnej walki z wichrzycielami wiary”. To wołanie nie pozostało bez skutku. Prześwietne damy wysłały natychmiast depeszę do kardynała Merry del Val, w której między innymi „protestują z całego serca przeciw pociskom wymierzonym w namiestników Chrystusa”; oświadczają gotowość „podjęcia walki na każde zawołanie i walczenie w obronie świętej wiary katolickiej aż do upadku i bez wytchnienia”⁷⁾...

(dok. nast.).

St. A — ski.

Kongres międzynarodowy w Kopenhadze.

(dalszy ciąg).

Meeting Międzynarodówki.

Niedzielne popołudnie wyzyskano dla meetingów i pochodów robotniczych. Pochód był kolosalny, powstydzićby się go nie mogły najpierwsze stolice świata. Brać w nim miało udział 50,000 ludzi. Pochód udał się do parku Londermavken, gdzie z czterech trybun

⁷⁾ W odpowiedzi na wystąpienie arystokratycznych dam, kobiety z ludu wysłały do p. Canalejasa petycję, domagającą się wypędzenia mnichów z Hiszpanji i oswobodzenia kraju od tej plagi.

świadomością małej wartości swej zaniedbanej osoby, w porównaniu ze swobodą i pewnością tego elegancko ubranego pana, nie pozwoliło mu wydobyć z siebie jako tako inteligentnego zdania.

— Ano cóż — wyrzekł w formie ni to zapytania, ani twierdzenia, oblewając się rumieńcem. Przytem w dziwnie nieokreślony sposób wznosił do góry otworną dłoń i, ścisnąwszy w kulak, uderzył nią o blat stolika.

— Ano cóż!? — parsknął Zgliński. Kapitalny jesteś! Ano cóż, jak ci się powodzi. Ano cóż, co robisz? Ano cóż, czemu się prezentujesz, jak szczur z mąki? Ano cóż jak tam z twojami ideałami? Ano cóż, jesteś otumaniony moją personą? A no cóż, czy otrzymałeś mój list? Ano cóż, przede wszystkim lyknij korniaczku, to ci się język rozplączę! Wiwat: „ano cóż!”

— Nie cierpię miasta — rzekł Sarnecki, wychyliwszy kieliszek.

— Ou! Ano cóż, głupstwa gadasz. Byłem pewien, że wracasz z Roczochranej Woli pod Kudławcem. Czy nie wstąpiłeś jeszcze do Tolstojowców?

— Nie.

— A to szkoda. Mieliby z ciebie pociechę. Owszem, w Europie używa się barbarzyńskiej literatury, jak Rzymianie używali pałeczki z kości słoniowej do łaskotania gardła po nadmiernem przejedzeniu się. Na przeładowanie najskuteczniejszy razowiec. Ach Boże! Boże! — mówił Zgliński, zapalając papierosa, gdzieście

przemawiali najpierwsi mówcy socjalistyczni świata. Z trybuny I-iej przemawiali m-i. Jaurès, Molkenbuhr, Keir Hardie, Adler, Anseele, Hilquist, Plechanow.

Po meetingu odbyła się zabawa ludowa przy wspaniale urządzonej iluminacji.

Prace w komisjach i ich rezultaty.

1) Stosunek partji politycznych do ruchu kooperatywnego.

Kwestja ta znajdowała się wprawdzie na pierwszym punkcie porządku dziennego: opracowanie jej powierzono t. zw. pierwszej komisji kongresu. Wskutek jednak ujawnionych znacznych rozbieżności w poglądach komisja długo opracowywała swe wnioski, a skutkiem tego cała sprawa znalazła się nie na pierwszym, lecz na ostatnim punkcie porządku dziennego kongresu, bezpośrednio przed oznaczeniem czasu i miejsca kongresu następnego (w Wiedniu w r. 1913) i przed przemówieniami pożegnalnymi. Kongres przeto rozpatrywał sprawę kooperatyw w sobotę 3 września r. b. w czasie sesji popołudniowej. W komisji kooperatywnej przewodniczył znany przywódca ruchu kooperatywnego belgijskiego, Anseele, którego paradoksalne wypowiedzenie się, że świat kapitalistyczny będzie zbombardowany nie bombami anarchistycznymi, lecz bochenkami chleba kooperatystycznymi, znane jest szerokim sferom publiczności. W komisji i na posiedzeniu plenarnem ujawniły się 2 stanowiska przeciwne: z jednej strony stanowisko belgijskie, z którym solidaryzowała się mniejszość Francuzów, z Guesde'm na czele, Holendrzy i część Anglików (socjalno-demokratyczna federacja); stanowisko przeciwne zajęli Niemcy, kraje skandynawskie, większość Francuzów. Stanowisko pośrednie, jakkolwiek niewątpliwie bardziej zbliżone do niemieckiego, zajęli Austriacy, z pośród których dr. Karpeles został referentem komisji na posiedzeniu plenarnem.

Stanowisko pierwsze było stanowiskiem najbardziej ortodoksalnem. Belgom i ich sprzymierzeńcom chodziło o jaknajwiększe upartyjnienie kooperatyw; mają one płacić składki na rzecz partji politycznej, musi być wytworzona pewna jedność organizacyjna pomiędzy partją, ruchem zawodowym, a ruchem współ-

wy się ludzie chowali. Jestem tutaj zaledwie miesiąc, a mam już potąd tej Azji.

— No więc po co siedzisz w tej Azji?

— Och pojechałbym i jak jeszcze! Ale widzisz, przyjacielu, są dwie rzeczy nieprzyjemne na świecie: brak monety i nuda. Jeżeli masz jedno, a brak ci drugiego, szczęśliwy być możesz, jak bóg.

— Wątpię, czy wogóle istnieje to, co ludzie nazywają szczęściem — objawił Sarnecki.

— Nie o tobie mówię, rozumie się. Ej ptaszku, cienko mi coś śpiewasz. Alboś nieszczęśliwie zakochany, albo chorujesz na jakąś demencję mistyczną. Przyznaj się, ładna panna, a bogata? he? Przysięgnę, że cię wzięła za nos i wodzi. Nie zapominajże człowieku o wielkich słowach mistrza: „gehst du zu Frauen...”

— A może z dodatkiem „gehst du zu Menschen?”

— Brawo! Widzę, że jeszcze niezupełnie jesteś pograżon. Tak, tak mój drogi. Ludzie są zwierzętami i to brzydkimi zwierzętami, głupimi zwierzętami. Wól nic nie myśli przynajmniej, a robi, co mu Stworzyciel przykazał. Ty zaś myślisz, gnieciesz mózgownicę, że aż skrzypi i co wymyśliłeś? Jeszcze nie nauczyłeś się brać życia takim, jakim ono jest.

— Jakiemże ono jest, według ciebie?

— Moim interesem, tylko i jedynie. Dobrze, co z siły jest, złe, co się ze słabości rodzi.

(d. c. n.)

dzielczym. Temu stanowisku przeciwstawili się żywo Niemcy z v. Elmem na czele. Dowodzili, że wszystkie trzy ruchy pracować muszą dla idei socjalistycznej, że zadaniem socjalistów jest brać czynny udział w ruchu współdzielczym, zabarwiać go socjalistycznie, uważać go za teren agitacyjny; v. Elm energicznie zwalczał federację socjalno-demokratyczną angielską, która ruch współdzielczy bojkotuje, z ironją się o nim odzywa, dlatego, że współczesny ruch angielski współdzielczy w mniemaniu zwalczanego stronnictwa angielskiego obcym jest socjalizmowi. V. Elm dowodzi, że, jeśli jest on obcy, to winić tu należy socjalistów angielskich, że zresztą ruchowi temu socjalizm wcale obcy nie jest. Wybrana przez komisję podkomisja opracowała projekt rezolucji, który został znakomitą większością przez kongres przyjęty. Bronił go i uzasadniał na posiedzeniu plenarnem referent komisji dr. Karpeles. Komisja nie ograniczyła się do zbadania stosunków pomiędzy ruchem współdzielczym a politycznym; badała również znaczenie stowarzyszeń spożywczych dla walki proletariatu. Doszła tu do wniosku, że stowarzyszenia te nie tylko zapewniają swym członkom szereg korzyści, lecz są i bronią w walce o wyzwolenie; mają przede wszystkim znaczenie wychowawcze; przygotowują klasę robotniczą do przyszłej roli organizatorów wytwórczości. Robotnik, jako wytwórca, jest ściśle uzależniony od kapitału; jako spożywcza korzysta z pewnej wolności, z której musi zrobić użytek. Skoro już jest zmuszony oddawać kapitałowi część wytworzonej przez się wartości, to przynajmniej nie jest zmuszony do dzielenia się z kupcem pozostałą częścią. Stąd powstaje potrzeba kooperatywy. Rezolucja nie ma na celu rozbudzenia w robotnikach złudzenia, jakoby ruch współdzielczy sam jeden miał zdemokratyzować i uspołecznic wytwórczość. Z drugiej jednak strony rezolucja kładzie nacisk na codzienną, powszednią pracę, będącą koniecznym warunkiem walki o wyzwolenie. To też towarzysze partyjni i związkowi mają obowiązek być czynnymi członkami ruchu współdzielczego, zwalczać tendencje antysocjalistyczne często tkwiące w tem ruchu. Trudną do rozstrzygnięcia jest sprawa stosunku ruchu współdzielczego do partii. Rezolucja wypowiada się tu za wolnością stowarzyszeń współdzielczych poszczególnych krajów do decydowania o tem, jak i o ile mają one popierać ruch polityczny i zawodowy. W Międzynarodówce mile widziane będzie każde stowarzyszenie współdzielcze, o ile panuje w niem duch socjalizmu. W interesie socjalizmu leży niewątpliwie, aby węzły pomiędzy trzema odłamami ruchu: politycznym, zawodowym i współdzielczym się zacieśniały coraz to bardziej. Rezolucja tego zacieśnienia się węzłów wówczas nastąpi, gdy każdy członek partii będzie równocześnie członkiem związku zawodowego i członkiem kooperatywy. Rezolucja wreszcie wypowiada się za tem, aby kooperatywy każdego poszczególnego kraju, stojące na stanowisku rezolucji, tworzyły jednolite związki kooperatyw. Przeciwno temu protestowali w komisji delegaci czescy, pragnąc, aby związki te tworzone były nie dla całych państw, lecz dla narodów. Słusznie pogląd ten zwalczano, jak zwalczano separatystyczne poglądy Czechów w drugiej komisji kongresu dla związków zawodowych (o czem będzie mowa w dalszym ciągu). Ironicznie zauważył tu Anseele, że kongres w plenum zadecyduje, czy ruch kooperacyjny ma być ruchem narodowym, czy też klasowym. Uchwaloną znakomitą większością rezolucja brzmi, jak następuje:

„Zważywszy, że stowarzyszenia spożywcze do „starczać mogą swym członkom nie tylko korzyści „bezpośrednich; że są powołane do umocnienia „eonomicznego klasy robotniczej przez omięcie „średników i przez własną wytwórczość dla zorganizowanego spożycia, oraz do poprawy bytu robotni-

„ków, do wychowania robotników do roli samodziel- „nych kierowników, a tem samem, że współdziałają „demokratyzacji i socjalizacji społeczeństwa—Kongres „oświadcza, że jakkolwiek ruch kooperatystyczny sam „jeden nie jest w stanie doprowadzić do wyzwolenia „robotników, nie mniej może być skuteczną bronią w walce „klasowej, prowadzonej przez robotników dla osiągnię- „cia ich niezłomnego celu—zdobycia władzy politycz- „nej i ekonomicznej dla uspołecznienia wszystkich „środków wytwórczości i wymiany i że klasa robotni- „cza wysoce zainteresowana jest w posiłkowaniu się „tą bronią.

„Dlatego też Kongres wzywa energicznie wszyst- „kich towarzyszy partyjnych i wszystkich zorganizowa- „nych zawodowo robotników do zostawania czynnymi „członkami stowarzyszeń spożywczych i do oddziaływania „w tych stowarzyszeniach w duchu socjalistycznym „dla przeciwdziałania temu, aby stowarzyszenia spożyw- „cze z cennego środka organizacyjnego i wychowawcze- „go dla klasy robotniczej stawały się środkami osłabiania ducha solidarności i dyscypliny socjalistycznej. Dla tego też Kongres zobowiązuje towarzyszy „partyjnych do wpływania na stowarzyszenia spożyw- „cze w tym duchu, ażeby zyski nie były obracane wy- „łącznie na bonifikację dla członków, lecz były zużytkowywane na tworzenie funduszy, któreby umożliwiały „stowarzyszeniom spożywczym przechodzenie do kooperatywy wytwórczych czy to bezpośrednio, czy też „przez tworzenie związków stowarzyszeń spożywczych „lub stowarzyszeń zakupów hurtowych, lub też umożliwiały troskę o wychowanie, kształcenie, wspomaganie członków; ażeby stosunki płacy i pracy oficjalistów „w stowarzyszeniach spożywczych były regulowane „w porozumieniu ze związkami zawodowymi, ażeby stowarzyszenia spożywcze pod każdym względem mogły „być wzorem dla innych przedsiębiorstw; ażeby przy „sprawdzeniu towarów uwzględniane było ich pochodzenie. Kwestja, czy i o ile kooperatywy mają swymi „środkami bezpośrednio popierać ruch polityczny „i zawodowy, pozostaje do rozstrzygnięcia organizacji „kooperatystycznej poszczególnych krajów.

„Zważywszy, że pożytek z ruchu kooperatystycznego dla klasy robotniczej tem będzie większy, im „ruch ten będzie większy i bardziej zwarty. Kongres „oświadcza, że kooperatywy każdego kraju muszą utworzyć „jednolity związek.

„Wreszcie Kongres oświadcza, że w interesie „klasy robotniczej w jej walce z kapitalizmem leży, „ażeby stosunki pomiędzy organizacjami, polityczną, „zawodową i kooperatystyczną stawały się coraz to „bardziej ściśle, bez krzywdy jednak dla samodzielności „każdej z tych organizacji.“ (d. c. n.)

Ed. Michalski.

Garść uwag. 1)

Prasa postępową niejednokrotnie występowała z ostremi wyrzutami przeciwko lewicy, która w swem rzekomeм zapamiętaniu i zaciekleści nie widzi głębokich różnic, istniejących między rozmaitemi kierunkami opinii burżuazyjnej i niedocenia znaczenia możliwego sojuszu z najbardziej radykalnymi wśród tych kierunków gwołi walki ze wspólnym wrogiem. Lewica niezmiennie odpowiadała na to, że, aczkolwiek w zasadzie możliwe jest istnienie radykalnych stronnictw burżuazyjnych, i niewykluczony jest czasowy sojusz

1) Zasadnicze stanowisko autora podzielimy w zupełności, wszakże nie na wszystkie uwagi zgodzić się możemy.

(Redakcja).

z niemi, to u nas iście demokratycznych i prawdziwie postępowych elementów burżuazyjnych niema i że, co za tem idzie, niema z kim zawierać choćby czasowego przymierza. — Pewne światło na tę kwestję rzuca zatarg między „Młotem” i p. Andrzejem Niemojewskim oraz zachowanie się wobec tego zatargu postępowej prasy polskiej. Prasa ta skorzystała skwapliwie ze sposobności, aby z całą nienawiścią i zaciekłością rzucić się na „Młot”, spróbować zdyskredytować ten organ i znakomicie utrudnić i tak niełatwą jego egzystencję. Przypomnijmy w najogólniejszych zarysach przebieg zatargu. „Młot” twierdził, że p. Niemojewski fałszywie cytuje enuncjacje swoich politycznych przeciwników. W odpowiedzi na to „Myśl Niepodległa” zażądała od „Młota” wylegitymowania się z prawa mówienia imieniem mas robotniczych, i wciągnęła do dyskusji życie prywatne poszczególnych osób. Przeciw obu tym sposobom walki „Młot” ostro wystąpił i wystąpił całkowicie słusznie. Muszę się zastrzedz. Oburzając się wraz z „Młotem” na sposoby walki stosowane przez p. Niemojewskiego — zresztą nie od dzisiaj — uważam za konieczne podkreślić, że mojem zdaniem „Młot” pod wpływem słusznego oburzenia przebrał miarę i to tak, jak tego czynić nie wolno. Istnieją zarzuty, których bez głębokiego przekonania o ich słuszności nikomu się nie stawia, istnieją zarzuty, których wygłoszenie równa się moralnemu wyrokowi śmierci i w stosunku do których wygłaszania niezachowanie najwyższej ostrożności jest zgoła niedopuszczalne. Nikt absolutnie, nikt wśród współpracowników „Młota” (jestem tego pewien) nie podejrzewa, nie może podejrzewać policyjnej uczciwości p. Niemojewskiego; wyraz „prowokator” nie powinien być paść w żadnym razie. Najniewątpliwiej domaganie się przez p. Niemojewskiego w naszych warunkach jakowycis legitymacji było krokiem nieostrożnym; chęć pokonania przeciwników, postawienia ich w trudnej sytuacji, wytrącenia im broni z ręki zaprowadziła p. N. po za te granice, które zakreśla poczucie miary, które dyktuje niezbędną u nas rozważa, które wskazuje wiszący nad głowami miecz Damoklesa. Na to trzeba było zwrócić uwagę, lekko-myślność tę należało podkreślić, od powtarzania podobnych kroków trzeba było przestrzedz. Ale zapalczywość, nietakt, nieostrożność — to nie prowokacja. Zbyt smutny to i bolesny wyraz, aby nim w podnieceniu szafować. — Jednocześnie z artykułem „Młota” pojawił się list otwarty adwokata Szyszkowskiego. List pisany w formie kulturalnej, poważnie i z dużym poczuciem własnej godności, nie obrażając osobiście p. N., stawiał mu szereg rzeczowych zarzutów. P. Niemojewski uważał za właściwe odpowiedzieć „Młotowi”, a list p. Szyszkowskiego zbyć paru obelżywymi wyrazami o infamji. Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że stało się tak dlatego, iż łatwiej było odpowiedzieć zniewagami na zniewagę, aniżeli odeprzeć poważne, lecz spokojne zarzuty. Śmiem twierdzić, że o wiele zrozumialsze byłoby milczenie w stosunku do tych, którzy znieważają, aniżeli w stosunku do tego, który oskarża. Ale de gustibus non est disputandum. Dość, że p. Niemojewski napisał artykuł w odpowiedzi „Młotowi”, w którym z kolei robi wielce przejryste aluzje, mające wzbudzić podejrzenia co do policyjnej uczciwości odpowiedzialnego redaktora „Młota” p. E. Truskiera. Rzecz prosta, że to wszystko, co powiedziałem wyżej o szafowaniu podobnymi zarzutami, zachowuje swą moc i w danym razie. Przejmuje poprostu groza, gdy się o tem myśli. Doszliśmy do tego, że oskarżenie politycznych przeciwników o azejadę, służy poprostu jako środek w walce politycznej, publicystycznej i poniekąd osobistej. Dalej zająć nie sposób. Mam głębokie przeświadczenie, że p. Niemojewski nie ma żadnych pod tym względem wątpliwości co do p. Truskiera; gdyby nawet nieznanie mu było dane nazwisko, zbyt dobrze są mu znane nazwiska

współpracowników „Młota” na to, by mógł z dobrą wiarą budzić podobne wątpliwości, co do człowieka, podpisującego „Młot”. Ot, poprostu zemsta. Wyście mnie powiedzieli „prowokator”, to ja odpowiem wam tym samym zarzutem. I w tem miejscu zachowanie się prasy postępowej występuje we właściwym świetle. Gdy chodziło o p. Niemojewskiego, załamywano ręce ze zgrozą i rozdzierano szaty; gdy takiż zarzut postawiono odpowiedzialnemu redaktorowi „Młota”, nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby uważał za stosowne zaprotestować przeciwko podobnej metodzie i dać wyraz swojemu oburzeniu.

Wogóle zaś metody walki, ujawnione w tym smutnej pamięci zatargu nasuwają szereg nader poważnych refleksji. Już wspomnieliśmy wyżej, że p. Niemojewski uważał za stosowne oświetlać publicznie osobiste i rodzinne życie poszczególnych publicystów „Młota”. Wskazano mu, że ma złe informacje. W następnym numerze sprostował je, wymieniając nowe nazwiska, inicjały i osoby. Nie o to właściwie chodzi, czy p. N. miał od razu dobre informacje o tem, z kim się ożenił p. Radek, ale o to, co ten fakt ma do rzeczy. Czyż w zależności od nazwiska jego żony i od jej stanu majątkowego artykuły p. Radka stają się mniej lub bardziej słusznymi? Czy od tego zwiększa się lub zmniejsza wartość jego światopoglądu? Czy dlatego nabierają większego znaczenia i stają się bardziej przekonującymi argumenty, z którymi występuje p. Niemojewski? Co mają na celu podobne publikacje, do czego zmierza to wtrącanie do zagadnień społecznych osobistych spraw poszczególnych ludzi? Najwidoczniej chodzi o zainteresowanie publiczności, wzbudzenie sensacji, schlebienie niekulturalnym instyktom, nie o zwalczanie poglądów przeciwnika, ale o próby zohydzenia jego osoby. Czy to nie jest najbardziej typowa demagogja, oddawna stosowana przez wszystkie organy żółtej prasy?... I znów nie znalazł się ani jeden głos wśród postępowej prasy, któryby zaprotestował przeciwko podobnie niewłaściwym i obniżającym kulturalny poziom sposobom walki. P. Niemojewski żądał legitymacji od „Młota”, dających mu prawo mówienia imieniem mas. Pozostawmy na stronie wyżej zaznaczoną tu nieostrożność tego żądania. Zastanówmy się nad istotą rzeczy. Co to miało znaczyć? Ludzie pewnych poglądów rozumieją w określony sposób interesy mas i wypowiadają swe zdania o tych kwestjach. Jakich legitymacji potrzeba, aby mieć prawo czynienia tego. Gdyby poglądy „Młota” nie miały po za sobą żadnej historii, żadnych tradycji; gdyby nie były one poglądami, naokół których na całym świecie skupiają się najliczniejsze masy, czy nawet wtedy publicyści „Młota” nie mieliby prawa wyrażać żądań mas, tak, jak je rozumieją i widzą? Czy p. Niemojewskiemu ktokolwiek broni czynić tak samo? Miał dowiedzieć, że „Młot” źle rozumie istotne interesy mas, że nie zdaje sobie sprawy z tego, iż masy te nie stoją na jego punkcie widzenia, nie podzielają jego dążeń — p. N. wolał zająć się domaganiami legitymacji. Ale w danym razie sytuacja jest odmienna. P. Niemojewski wie, że wokół programu, który w jego oczach jest błędny, ciasny, doktrynerski, kupią się wszędzie robotnicze masy. P. Niemojewski doskonale pamięta, że przy pierwszych możliwościach zewnętrznych, to samo widzieliśmy u nas. P. N. nie może nie zdawać sobie sprawy z tego, że gdyby dziś „Młot” nie mógł w rzeczy samej wykazać licznych szeregów mandatarjuszy, to stałoby się to nie dlatego, że go pokonały wpływy wolnomyślicieli i postępowców. I z jakimś niepojętym uczuciem zadowolenia, z jakimś naigraniem się, nie mogącym mu przynieść zaszczytu — pyta p. Niemojewski — gdzież są ci, którzy stoją za wami. Dużo by o tem mówić, i zbyt trudno dziś o tem mówić. Ale wydaje mi się pewnikiem, że p. N. pyta o rzeczy, które wie dobrze,

nie sędzę bowiem, aby publicysta warszawski nie widział i nie słyszał tego, czego nie widzieli jeno ślepi i nie słyszeli tylko głusi.—W pytaniu p. Niemojewskiego kryła się jedna jeszcze myśl. Oto starał się on wzbudzić w sferach robotniczych niewiarę do tych, którzy mają wśród siebie ludzi, należących do zawodów wyzwolonych i niekiedy osobiście zamożnych. Jest to sposób zdawna praktykowany na zachodzie i na wschodzie przez bardzo rozmaitych wrogów lewicy. Sposób niegroźny, ale za to wielce charakterystyczny. Zarzuca się lewicy otumanianie masy, zabijanie w niej krytycyzmu, odrywanie jej od społeczeństwa. Lewica nigdy nie nawoływała do niewiary względem poszczególnych ludzi, dlatego jedynie, że są oni osobiście mniej lub więcej zamożni, że urodzili się w tej lub innej sferze społecznej.

P. Niemojewski pamięta niechybnie, że podczas walki stanu trzeciego o wyzwolenie na Zachodzie w szeregach jego stali ludzie, którzy pochodzili z arystokracji i szlachty, ale potrafili wyzwolić się z pod wpływów swego stanu; p. N. wie dobrze, że to samo zjawisko daje się dostrzedz w okresie walki czwartego stanu. Ale nie mniej jednak uważa za słuszne uciekać się do podobnych argumentów, licząc widocznie na to, że w jakichś ciemnych głowach i zmęczonych przez nędzę duszach można będzie poczucie ideowej odrębności klas zastąpić przez niechęć do jednostek osobiście zamożniejszych. I jeszcze raz — przeciwko temu naigrzaniu się i podjudzaniu instynktów nikt z postępców nie wystąpił. Przeciwnie, p. Niemojewski spotkał się z powszechnym uznaniem kół wolnomysłcielskich i radykalnych. Jak należało przypuszczać, p. Niemojewski, a wraz z nim urzędowy organ postępców „Prawda” w osobie p. Rzymowskiego nadały całej polemice z „Młotem” zabarwienie antysemityczne. Powiedziałem, jak należało przypuszczać. Albowiem z jednej strony już kilka miesięcy temu antysemityczne instynkty p. Niemojewskiego w związku z dyskusją w sprawie żydowskiej wystąpiły dostatecznie wyraźnie, albowiem z drugiej strony najulubieńszym środkiem walki stronnictw mieszczańskich z lewicą społeczną jest podniecanie nienawiści rasowej. Gdy w swoim czasie zarzucano p. N. antysemityzm, bronił się on przed tym zarzutem, twierdząc, że krytykowanie zacofania i ciemnoty żydowskiej bynajmniej nie jest równoznaczne z antysemityzmem. Ostatnie twierdzenie jest niewątpliwie słuszne. Sędzę, że p. Niemojewski ma takie samo prawo do walki z żydowskim klerykałizmem, jak i z chrześcijańskim. Inna sprawa, że ta metoda walki, którą stosuje p. N. w walce wogóle z klerykałizmem, wydaje mi się, jeśli nie mało owocną, to w każdym razie zgoła niewystarczającą. Walka z klerykałizmem jest zadaniem wielce doniosłym. Wedle starej formuły trzeba odwrócić oczy ludzi od nieba po to, by je zwrócić ku ziemi i panującym na niej stosunkom. Ale burżuazyjni wolnomysłciele całą uwagę swoją skierowują ku krytyce dogmatyki religijnej, bój toczy się w dziedzinie oderwanej abstrakcji i czystej logiki. Czysto racjonalistyczne dociekania mają niewątpliwie swoje znaczenie, ale o tyle mogą doprowadzić do pożądanego wyniku, o ile towarzyszy im wykazywanie tej społecznej roli, jaką kościół i kler grają w dzisiejszym świecie. Demaskowanie polityki kleru, obnażanie jego istotnej społecznej fizjonomii wydaje mi się najmocniejszym orężem w walce z klerykałizmem, jeśli chodzi o masy ludowe. Tego oręża lewica nigdy z rąk nie wypuszczała. To też jeśli dla ilustracji powołać się na stosunki panujące w żydowskim społeczeństwie—należy stwierdzić, że między klerem żydowskim, a żydowską społeczną demokracją od paru lat dziesiątków toczy się bój zażarty, zacięty i nieubłagany. I śmiem wątpić, aby jakiebądź znaczenie dla tej walki miały dociekania p. N., pisane w dodatku i wydawane w języku mało zrozumiałym dla warstw,

odczuwających wpływ żydowskiego klerykałizmu. W każdym razie mogę powątpiewać o celowości walki p. N. z żydowską ciemnotą, prawa jego do tej walki zgoła nie kwestjonuję. Ostatnio przez paru „postępców” publicystów wygłoszona zasada, zakazująca walki z „obcym” obskurantyzmem wydaje mi się zupełnie średniowieczną. Niewątpliwie trzeba żyć życiem pewnych warstw, by móżdż skutecznie walczyć z ich ciemnotą. Ale to nie jest jednoznaczne z odmawianiem chrześcijanom prawa do walki z żydowskim obskurantyzmem, lub żydom z chrześcijańskim. Gdyby odpowiednie grupy ludności nie stykały się z sobą, gdyby to, co dzieje się wśród jednej z tych grup, nie odbijało się na życiu drugiej—dałaby się pojąć pewna przynajmniej zasada negocjowania prawa jednych do walki z tem złem, które się dzieje u drugich—i to z punktu widzenia tych, których obchodzą wyłącznie losy jednej grupy. W każdym razie — jeszcze kilka miesięcy temu p. N. próbował zachować pozory i nadać swoim wystąpieniom charakter walki wyłącznie z żydowskim obskurantyzmem. Dziś maskę tę odrzucił całkowicie. Zbyt dużo mówiono o tej stronie wystąpienia p. N., aby warto się nad tem rozwodzić. Koszlawienie języka, przedrzeźnianie stylu, którym rzekomo mówią żydzi—przeciwnicy polityczni — należy do tego arsenału środków, których używania nie można upozorować walką z żydowskim obskurantyzmem. Środek ten został zastosowany przez p.p. Niemojewskiego i Rzymowskiego: p. Niemojewski pisał w organie polskiej „wolnej myśli”; p. Rzymowski pisał w urzędowym organie „polskiego zjednoczenia postępcowego”—Sapientii sat. Streśćmy. Polska prasa postępcowa milczała, gdy zarzucono redaktorowi „Młota” azeffadę, a współpracownikom tego organu infamję. Polska prasa postępcowa milczała gdy wdzielano się do osobistego życia przeciwników, skoro ci znajdowali się w obozie lewicy. Polska prasa postępcowa milczała, gdy naigrzewano się z radością nad czasem osłabieniem obozu robotniczego. Polska prasa postępcowa milczała, gdy próbowano budzić złe instynkta i podburzać przeciwko poszczególnym ludziom, „inteligentom” z lewicowych stronnictw. Polska prasa postępcowa wzięła udział w nagance antysemitycznej, wszczętej przez p. N. i wraz z nim użyła tego środka do walki z lewicą.—Należy to stwierdzić, bo jest to materiał, który może się przydać w przyszłości przy rozstrzygnięciu kwestji, czy są u nas stronnictwa rzetelnie demokratyczne i postępcowe i czy sojusz z nimi nie zostaje zawarty z winy lewicy.

Bronisław Grosser.

LEO BELMONT

I JEGO STOSUNEK DO PRASY.

Leo Belmont jest umysłowością niezwykle nietylko w ciasnym obrębie naszego ubożego duchem społeczeństwa, lecz wogóle. Gdy chcemy umysłowość tę charakteryzować, musimy posługiwać się całym szeregiem imperatywów: musimy powiedzieć, że jest to pisarz jeden z najwszechstronniejszych, jeden z najgruntowniejszych, jeden z najgłębszych, jeden z najsubtelniejszych, jeden z najharmonijniejszych, jeden z najlogiczniejszych, a stąd i—najdowcipniejszych, jeden z najwrażliwszych, jeden z najuczciwszych — a w dzisiejszym stanie literatury, zwłaszcza dziennikarstwa, to przymiot wcale nie banalny; wreszcie—jeden z najpłodniejszych, jeżeli wogóle nie najpłodniejszy. I dziwić się należy, jak te i tym pokrewne cechy, te wszystkie zalety, które w większej części zwykle się wykluczają, mogły się połączyć w jednym pisarzu. Dziwić się należy mianowicie, że wszechstronność nie

wyłączyła gruntowności i erudycji, że erudycja nie zabiła zdolności do uogólnień i to bardzo wysokiej — Belmont potrafi np. całe dzieje rozwoju bóstwa zamknąć w trzydziestu kilku wierszach („Do bezbożników”) — że głębokość nie zamącała niezwyklej jasności wykładu. Belmont jest znakomitym prelegentem, a gdyby był się poświęcił nauczaniu, byłby znakomitym pedagogiem (np. jego wyjaśnienie zasad działania telefonu); — że jego logika, jego intelektualizm (choć przeważny) nie uczynił go obojętnym akademikiem, nie wyziębł w nim uczuć społecznych, (a poniekąd i talentu poetyckiego): nie lęka on się występować w obronie pokrzywdzonych (Koperowie, Knobelsdorf, itd.), a rozbieżność poglądów teoretycznych nie osłabiła w nim głębokiej sympatii dla praktyki dążeń socjalistycznych („Socjalizm i sprawiedliwość”); że jego wprost fachowe znanstwo subtelności buchalteryjnych nie przeszkadza mu wnikać w subtelności utworów artystycznych, (np. studjum o Judaszu Andrejewa); że jego fenomenalna płodność nie sprowadziła zwykłej w takich razach wodnistości — wydając „Wolne słowo” zapelnia on tam, z bardzo rzadkimi wyjątkami, całe pismo, a jednak wszystkie numery tego pisma są wyborne, wiele zaś z nich, jak numery szkolny, numery więzienne i t. d. pozostanie po wszystkie czasy dokumentami psychologicznymi, dziejowymi. Tak np. w jednym artykule („Z rozmów w Cytadeli”) znakomity, jakby z kamienia ciosany, jest typ młodego oficera o wyrazistych surowych rysach, który z przerażającym chłodem opisywał sceny stracenia; ponieważ okazywał on więźniowi (Belmontowi) wiele życzliwości, przeto Belmont zapytał go, czy z równym chłodem prowadziłby jego na szubienicę, choćby wiedział, że zachodzi tu omyłka, że skazano niewinnego — „Pan zadajesz mi dziecinne pytanie”, odpowiedział oficer — „naturalnie, poprowadziłbym”. — „Dlaczego?”. — „A przecież ja przyprowadziłem”. — „Ach, dodaje Belmont, teraz zrozumiałem: on opierał się na ewangelji”.

W innym znów numerze więziennym („Więzienie na ulicy Spokojnej”) Belmont przytacza również z własnej obserwacji spór dwojga więźniów, warjatów — katolika z żydówką: pierwszy chce drugą przekonać przy pomocy pięści o skuteczności „mocy krzyża świętego”; druga zaś, patrząc nań z pogodą umysłowej wyższości, dowodzi: że Chrystus nie był ukrzyżowany, lecz „spadł z trzeciego piętra i pękł” — jest to znakomity pokaz poglądowy walk religijnych wszystkich czasów i wyznań: jeden twierdzi „pękł” drugi „nie pękł”, no i, jakby powiedział pesymistyczny filozof — pastor James, zwycięży, „przetrwa” ta „prawda”, która jest „dogodniejsza”; zwłaszcza — gdy jej dogodność zostanie poparta pięścią! Przytem te wrażenia i charakterystyki więzienne iskrzą się wspaniałymi dowcipami głębokiej ironji; tak np. Belmont potrafi dozorcę więziennego, brzękającego pękiem kluczy od kaźni, porównać do „skrzętnej gosposi cichego dworka wiejskiego”.

Ta płodność Belmonta rozciąga się nie tylko na publicystykę, którą tu głównie bierzemy pod uwagę; odpowiednio do swej wszechstronności, Belmont ujawnia płodność na wszelkich polach twórczości literackiej i na polu nauki („Socjalizm i Sprawiedliwość”), powieści („W wieku nerwowym”, „Sprawa przy drzwiach zamkniętych”), dramatu („Dla Honoru”), nawet poezji („Rymy i Rytmy”); wprowadzając jego subtelny zmysł logiczny, przeciwstawiający się głupocie ludzkiej i rażącym sprzecznościom współczesnego ustroju i życia, czuje się najbardziej w swoim żywiole na polu satyry (np. wiersz „Z cyklu biblijnych opowieści” gdzie Belmont, z pełnym dumy zadowoleniem dokumentuje swą lojalność wyznaniową wobec państwa: „i razieszenie mam ministra i pastora zapłacony”, mniej zaś nadaje się do li ryki, lub epopei, ale i tutaj jego przekład Eugenjusza Oniegina wypadł znakomicie.

Tę zdumiewającą płodność, ten niewyczerpany

nawał ideowy, tę, rzecby można *ideoreę* dzieli Belmont z innym naszym pisarzem St. Brzozowskim; lecz, mimo tego podobieństwa, istnieją znaczne między temi pisarzami nawet w tym względzie różnice: u Brzozowskiego ten wylew ideowy odbywa się że tak powiem katastroficznym, pod każdym nowym impulsem, podobnie jak u owej wielkiej rzeki Chin, która przerywa tamy i obiera sobie coraz inne drogi, zmierza ku coraz innemu morzu. L. Belmonta zaś wylew jest planowo regularnie zkanalizowany, systematycznie rozprowadzony ku powolnemu systematycznemu użyznianiu jałowych piasków Sarmackich.

Należy tu wreszcie zaznaczyć, że Belmont posiada jeszcze jedną cechę zupełnie swoistą: umiejętność przemawiania do władz i o władzach; ułatwia mu to jego wyborna znajomość prawa (jest adwokatem), oraz jego nadzwyczajne wygimnastykowanie logiczne, i wyszkolenie dziedziczne w szkole brutalnego skrępowania zewnętrznego zwycięskiej wewnętrznie myśli ludzkiej — wprost kauczukowy człowiek, czy też zwinna wiewiórka, igrająca z groźnym niedźwiedziem: zbliża się do niego układnie lub figlarnie, niedźwiedź, zda się, już, już zmiążdży ją swą potężną łapą; tymczasem jeden błyskawiczny zwrot i wiewiórka jest już po drugiej stronie niedźwiedzia i gryzie go w ogon. Niezrównana jest np. jego rozmowa ze słynnym biczem bożym literatów warszawskich cenzorem Iwanowskim („Buda pana Rajchmana”) na tle znakomitej umysłowej klasyfikacji urzędników rosyjskich. Belmont potrafił napisać nawet o sprawie Dobrodzickiej, gdy takie *parexcellence* „etyczne” pisma nasze, jak „Słowo” i „Kraj”, dbały o dobrą sławę naszego społeczeństwa, oświadczyły, że „całe społeczeństwo polskie jest oburzone z powodu uwolnienia zbrodniarki” — artykuł Belmonta z tego powodu to prawdziwy „taniec wśród mieczów”. Donioślejszym praktycznie z artykułów tej kategorii jest jeden dawniejszy w sprawie uwięzionych i skazanych na katorgę Koperów, którzy na skutek artykułu Belmonta zostali uwolnieni, oraz świeża sprawa rzekomego sprofanowania rzekomej (zniszczonej i zamieszkałej przez lisy) cerkwi prawosławnej w Rożyszczu przez *siedemdziesięciokilkuletniego* starca (Knobelsdorfa), który w niej *nie był*, a który mimo to został skazany przez sąd Mozyrski *na katorgę!* W sprawie tej Belmont napisał list do prezesa ministrów, rzucający przy sposobności danej sprawy światło na obecną sytuację w państwie rosyjskiem. List ten (którego strona faktyczna została następnie stwierdzona i uzupełniona badaniami dokonanymi na miejscu przez p. Huzarskiego), pozostał wprawdzie dotąd bez rezultatu. W każdym jednak razie pozostanie on już nietylko dokumentem dziejowym, ale przez poruszenie opinii już znacznie stępiełej na bezprawie, może się stać nawet czynnikiem dziejowym.

(d. c. n.)

Wacław Nałkowski

GAWĘDY.

Warszawa stanęła wobec zagadnienia — i to zagadnienia nielada. Zbliżając się do pierwszego mizernego miliona mieszkańców, posiada ona już „aż” dwa teatry poświęcone komedji i dramatowi. Tu właśnie zaczyna się tragedia. Aż dwa teatry, kiedy literatura dramatyczna znajduje się w stanie ubóstwa bez granic, kiedy — oprócz „Tajfunu”, „Koncertu” i „Szalonej dziewczyny” — nie posiada ona niczego, na co mogliby łaskawym okiem spojrzeć kierownicy dwóch naszych świątyni Melpomeny.

Co począć? Punkt wyjścia jest jeden tylko: grać w obydwu teatrach to samo. Pozostaje jedynie karcić nas z dwóch stron „Tajfunem”, „Koncertem”

i „Szaloną dziewicą” tak długo, aż będziemy umieli te unikaty literatury na pamięć i recytując w domu wzniosłe teorie doktora Jura, będziemy mogli powiedzieć sobie, żeśmy posiadli istotę Sztuki i znamy wszystko, co nam ona dać może.

Że jednak nie każdy lubi w domu siedzieć, zwłaszcza teraz, kiedy pogody są nareszcie znośne, umysły jęły się burzyć. Chleba i igrzysk! — zawołali warszawiacy, bezradni wobec woli panów Kamińskich i Zalewskich. Zbuntowany lud warszawski gotówby udać się tłumnie do świątyni Apollina, na którą mamy nawet miejsce fort indiqué około Belwederu i tam bogom dziękować, że nie zesłali nam czterech teatrów. Na Jowisza! Cztery teatry odstaniałyby nam wtedy tajemnice duszy Japończyka, ekspedjowanej do Warszawy za frachtem via Budapeszt i poglądy barokowe pana Bahra na kwestję zdrady małżeńskiej!

Krytycy — trybuni ludu spragnionego igrzysk — opuścili ręce i wraz z ludem biadają nad stanem rzeczy — a wyjścia z sytuacji nie widzą, wobec istotnego w Sztuce pronunciamiento kabotynów i tryumfu sztukczek nad Sztuką. I rozgniewano się srodze na teatr Zalewskiego, że stara się ubiedz oficjalny teatr Rozmaitości. Dlaczego nie miałyby starać się o to Zalewski, który ogromnie pragnie powodzenia? Szkoda tylko, że Rozmaitości, zajmujące u nas stanowisko Teatru Narodowego, nie wiedzą, co czynić winny, i nie grają przedewszystkiem klasycznych dzieł naszych, a następnie arcydzieł epokowych twórczości obcej. Dlaczego Rozmaitości nie są domem Fredry, jak Théâtre Français jest domem Moliera? Niegodne jest, że jedyna wielka scena w Polsce, posiadająca środki, aby takie zająć stanowisko, sięga po miernoty i to miernoty obce, kiedy to właśnie czynić mogą i nawet poniekąd w charakterze eksperymentu artystycznego i finansowego, powinny teatry prywatne. Teatr prywatny jest przedsiębiorstwem artystycznym czy finansowym (według ambicji jego kierownika), ale teatr oficjalny jest akademją, której „Tajfunów” i „Koncertów” grać nie wolno. Jeżeli gra je teatr Zalewskiego, możemy najwyżej żałować, ale widząc te „sztuki” w Rozmaitościach — protestujemy! „Koncert” u Kazimierza Zalewskiego, a potem u Kazimierza Kamińskiego pod protektorem Kazimierza E. Piękny wiek Kazimierzowski!

Rozżalony niosę moją znieprawioną (patrz № 146 „Myśli Niepodległej”) duszę do kawiarni. I tam — o przebóg! zastaję — jestem złamany! — tam zastaję mojego redaktora we własnej osobie! Mój redaktor w kawiarni! A zatem mój redaktor, człowiek, w którego wierzyłem, jest zgubiony! Ten człowiek, którego dotąd jedynym grzechem było nazwisko na *ski*, od tej chwili przestaje wiedzieć, że jeden pan zna malarza w czystym kołnierzu, że Żeleński mieszka w Galicji, że Stowarzyszenie lekarzy rozwiązano i że trzech entomologów zawiązało własne Towarzystwo! Tak bowiem działa na człowieka kawiarnia (patrz ten sam zeszyt „Myśli Niepodległej”)

Zgnębiony i przybity usiadłem w przeciwległym kącie. Obejrzałem się po kawiarni, po tym tradycyjnym na świecie całym home'ie bezdomnych niemal artystów. I widzę nędzne postacie ludzi złamanych przez ambicje, przerastające możliwości, postacie ożywające się rozmową o tak niedawnych jeszcze w ich życiu ideałach, których osiągnąć nie zdołały i których osiągnąć nie mogły były. Widzę pomiędzy niemi ludzi, którzy artystami nigdy nie byli, ale pozują na artystów zawsze — i ci dominują w dostrzeganych w kawiarni grupach. Widzę szarą burżuazję, która twarzy znanych i w nazwiska znane strojnych szuka — napróżno. Widzę tłum, w którym nędza i podłość są zmieszane w całość jaskrawą.

I oto do stolika hałaśliwego przybliży się artysta, który w izbie swej smutnej i pustej dzień cały

pracował i oko swe rozerwać pragnie światłem oślepiającym i ciszę dnia całego przerwać gwarem, choćby tak nędznym i tak bezdusznym, jak gwar kawiarni. On tu przyszedł, bo nie pragnął nawet szukać odpoczynku w przedsiönku hrabiowskim, dokąd go uprzejmie zaprasza niepodległy wolnomyśliciel.

Oko moje, błądzące po kawiarni, zatrzymuje stół, gdzie zwykł był siadywać Srokowski — tak niedawno jeszcze. W pustej przestrzeni dostrzegam cień tej twarzy satyra, skrzywionej w uśmiechu politowania dla kawiarni i jej nędzy. Dla tego smutnego i pragnieniami szarpanego poety ojczyzną była nędzna kawiarnia burżuazyjna, gdzie dusze pokrewne trudno było mu znaleźć pomiędzy blagierami, kokotami i pannami na wydaniu — w tłum łączącemi się w kawiarni. Przychodził tu — bo dokąd miał chodźć polski artysta?...

Kazałem podać sobie pisma. Przerzuciłem „Muche”, „Nowości Ilustrowane” i „Myśl Niepodległą”. W tej ostatniej przeczytałem artykuł mnie dotyczący i dowiedziałem się kilku ciekawych o sobie szczegółów, przeplatanych przekreconem sprawozdaniem z Gawędy. Pytałem siebie, dlaczego sens mojej Gawędy jest przekrecony. Czy dlatego, że sprawozdawca obraził się, czy dlatego, że treści żartu nie zrozumiał? Czy żarty trzeba tłumaczyć, treść ich łopata do głowy wkładając? To byłoby zbyt wielkiem upokorzeniem dla feljtonisty i humorysty. Tem gorzej dla człowieka, który nie rozumie zdania zredagowanego w sposób bardziej skomplikowany niż „chciałbym wznowić prenumeratę” — choćby niewiele bardziej skomplikowany. „Gawęda” jest antypatryjotyczna? Dlaczego sprawozdawca, który dostrzegł ustęp na str. 371 w szpalcie 1-ej i w wierszu 20 od góry, nie chciał dostrzedz ustępu na str. 371 w szpalcie 1-ej w wierszu 4 od dołu? Czy celem było sprowokowanie polemiki? Marchońt — w tej postaci — polemiki prowadzić nie chce. Na polemikę czas, miejsce i okazja znajdują się jeszcze.

A tymczasem Marchońt gruby i sprośny żartów swych nie zaprzestanie, żartów, które docinkami osobistemi, do osób prywatnych skierowanemi nie są, ale które dotyczą spraw i faktów, będących własnością publiczną i jednostek o tyle, o ile one w sprawach i faktach publicznych biorą udział.

Marchońt.

KRONIKA.

— Konfiskaty: № 7 tygodnika „Młot” został skonfiskowany za artykuł p. n. „Dwa obozy”.

№ 18 dwutygodnika „Trubadur Polski” został skonfiskowany.

№ 7 i 8 miesięcznika „Ster” został skonfiskowany.

— Dziennikowi berlińskiemu „Berliner Tageblatt” cofnięto debit na państwo rosyjskie.

— Preliminarz ministerjum oświaty obliczony został na rb. 91.694.000. Zażądano na szkoły wyższe rb. 7.486.000, na średnie — 17.166.000 rb., na szkoły wyższe ludowe — rb. 6.133.000 i na szkoły początkowe 39.000.000 rb. W 1911 r. ministerjum zamierza otworzyć 40 nowych gimnazjów.

— W ciągu m. sierpnia (st. st.) wydano w państwie rosyjskiem 18 wyroków śmierci; wykonano zaś dwa — we Władykaukazie.

— Więzienia w państwie rosyjskiem. W dumie państwowej złożono preliminarze wydziału więzień przy ministerjum sprawiedliwości, z których wynika, iż wydatki na więźniów w państwie rosyjskiem mimo uspokojenia stale wzrastają. Minister Szczegłowitow żąda w r. b. na więzienia rb. 32.647.000 t. j. o 2.066.000 rb. więcej niż w r. ub.

Skazanych na ciężkie roboty było w r. 1905 od 10.000 — 12.000; w końcu r. 1909 liczba ta podniosła się do 22.000, w r. b. zaś dokumenty stwierdzają niebywałą dotąd liczbę 30.000.

Co do więźniów, osadzonych w więzieniach, zwanych „wieżami”, to według danych ministerjum sprawiedliwości liczba ich w d. 14 stycznia r. b. równała się 175.000, d. 14 lipca zaś r. b. — 169.000; od r. 1907 liczba tych więźniów powiększyła się o 40.000.

W odpowiedzi na wyrażone przez Dumę „życzenie” co do przebudowy sieci nowych więzień powiedziano w memorjale dołączonym do preliminarzy więziennych, iż według opracowanego przez ministerjum sprawiedliwości planu na budowę więzień w państwie rosyjskiem trzeba rb. 50.000.000. Ministerjum plan swój zamierza wprowadzić w życie stopniowo; na budowę więzień w r. 1911 zażądano 4.954.000 rubli.

— Współczesna statystyka. W ciągu m. sierpnia st. st., w państwie rosyjskiem — jak pisze

„Riecz” — wydano 18 wyroków śmierci: we Władykaukazie — 5, w Kazaniu i Tyflisie po 4, w Odesie i Kijowie po 1. Ogółem od początku roku skazano na śmierć 393 ludzi.

Po raz pierwszy od czasu nadania konstytucji dzienniki — tak pisze dalej „Riecz” — podały tak niską liczbę wykonanych wyroków śmierci. stracono tylko 2 we Władykaukazie, ogółem od początku roku stracono 16.

Czasopisma skazano w 20 wypadkach na rb. 3.750 grzywien; zostały skazane: „Siewiernaja Zaria” — rb. 300; „Wiadomości Codzienne” — rb. 300; „Gazeta Kujawska” — rb. 200; „Dzień” — rb. 50; „Kiercz. Fieod. Kurjer” — rb. 300; „Donieckaja Żiżn” — rb. 150; „Sowremiennoje Słowo” — rb. 300; „Kurjer” — rb. 300; „Wołskij Wiestnik” — rb. 400; (trzy kary); „Młot” — rb. 100; „Kijewskaja Myśl” — rb. 100; „Jużnyj Kraj” — rb. 200; „Nowyj Żurnał dla Wsiech” — rb. 500; „Ogni” — rb. 150; wreszcie wileńskie piśmko „Dwa Grosze”.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najszynniejszych powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z niezbędnych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2 — 3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 99a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłką za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się fałszyfikatów i podrabianych etykiet.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają
PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę, katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełko zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZEŃSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.
ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.
ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.



MACZKA
NESTLÉ
MLECZNA

Idealny pokarm
dla niemowląt
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.



Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI,
i NAUKOWY

pod redakcją **Leo Belmonta**

Redakcja i administracja **Warszawa, Marszałkowska 97 — a.**
telefon № 118-98.

Przedpłata z dodatkiem wynosi:

w Warszawie z odnośnieniem, na Prowincji i Cesarstwie
z przesyłką.

kwartalnie rb. 1.75 kop.

półrocznie „ 3.50 „

rocznie „ 6.60 „

Zagraniczni abonenci dopłacają za przesyłkę kwartalnie kop. 15, rocznie kop. 40.

Numer pojedynczy kop. 15 — podwójny kop. 25.

Rocznik „**WOLNEGO SŁOWA**” (52 numery) w Administracji po cenie niższej z przesyłką rb. 5.

